

Stanisław Mikke

Lektura obowiązkowa, czyli o wyższości statusu pacjenta nad stanem bezgorączkowym

Palestra 37/1-2(421-422), 44-46

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Lektura obowiązkowa czyli o wyższości statusu pacjenta nad stanem bezgorączkowym

Czytałeś w „Spotkaniach” o ostatnich dniach Lenina? A w „Polityce”, ile zarabiają na godzinę radcowie w kancelariach prawniczych? Słyszałeś w radiu, co myśli Zbigniew Herbert o grubej kresce? A w „Trójce” dyskuszę między...

Chyba każdy z nas spotyka się z podobnymi pytaniami. I na wiele z nich odpowiadamy przecząco lub..., udając kontrolowanie całokształtu sytuacji, mówimy: „jeszcze nie czytałem” albo w inny sposób usiłujemy robić wrażenie osoby nadażającej za wartkim strumieniem informacji.

Rzecz jasna, nawet przy systematycznym czytaniu czsopism i poświęcaniu temu zajęciu stosownych dawek czasu oraz wysłuchiwanie kolejnych dzienników i audycji, prawie nikt – obciążony codziennymi, raczej przyziemnymi obowiązkami – nie ma, niestety, możliwości zapoznawania się choćby z takimi wiadomościami, które na to rzeczywiście zasługują. Bo niemal każdy dzień i każda gazeta przy-

nosi coraz to nowe wieści. Dlatego trudno się dziwić, że uznaniem cieszą się krótkie formy wszelkich pisanych wypowiedzi. Niezależnie, czy to będzie wywiad, artykuł, czy też proza.

Jeśli już zatem z nawyku człowieka kulturalnego nabywamy jakiś opasły tom, to po przekartkowaniu odkładamy go na półkę. Na lepszy, spokojniejszy czas. Który, nie oszukujmy się, nie nadejdzie w najbliższych miesiącach, a może nawet latach. Bo zazwyczaj, i poniekąd słusznie, podczas weekendu i urlopu staramy się więcej oddychać niż wysilać oczy.

Co zatem pozostaje? Jak się wydaje, może nas tu uratować niezbyt poważna choroba. Wygodne ciepłe łóżko, status pacjenta w rodzinie, któremu, oprócz pocenia, zaleca się spokój.

Tak się skradam, szukam jakiegoś sposobu... Nie idąc, muszę wyznać, za radą mego dawnego nauczyciela od dziennikarskiego pisania, który był powtarzał: „jeśli zamierzasz coś napisać, to od początku chwytaj byka za ro-

gi". Ale tym razem mam powód, by z tych cennych nauk nie skorzystać. Bo przyznajcie Państwo sami, jakże tak ni stąd, ni zowąd przedstawić dzisiaj człowiekowi pracy propozycję lektury ponad tysiąca stu stron. To prawda, stron niezwykłych, lecz...

Po udowodnieniu zatem – jak mniemam – powyższym wstępem, że nie urwałem się z ekologicznej, rzecz jasna, choinki, i rozpoznaję jeszcze znaczenie słów, ośmielam się stwierdzić, że książka, o której napiszę, dla adwokata, prokuratora i sędziego jest po prostu lekturą obowiązkową. I że od pytania: czy przeczytałaś (eś) „Pieśń kata” Normana Mailera żaden, kto ma ambicję być kimś ponad statystę Temidy, nie ucieknie. Jeśli jeszcze nie dziś, to najdalej jutro.

Ktoś może pomyśleć, że tę opinię formułuję pod wpływem jakiegoś zniechęcającego zachwyty. Otóż nie bardzo błędnie. Muszę się przyznać, że nie przypominam sobie drugiej książki, którą przeczytałem, od pierwszej strony do ostatniej, z tak mieszanymi odczuciami. Chwilami zaś z niesmakami czy wręcz niechęcią. Autor bowiem każe długo obcować ze światem marginesu społecznego, z którym jakkolwiek w sposób pośredni, ale przecież intensywny mam do czynienia przez niemal ćwierć wieku pracy zawodowej. Odruchy jakby odrzucenia wzmaga to, iż Norman Mailer, usiłując maksymalnie wiernie oddać opisywaną rzeczywistość („z całym szacunkiem dla faktów”), nie szczędzi naturalistycznych opisów i wulgarnego języka. Również przy okazji licznych scen erotycznych. Ten język na dłuższą, ponad tysięcznicową, metę drażni, a w końcu męczy. Łatwo i o inne zarzuty podczas lektury tej książki. Choćby o nadmierną rozwlekłość nie-

których, jak się momentami zdaje, nieistotnych wątków. Ale gdy z pewną ulgą kończymy tę trudną książkę, nie sposób nie zauważyć, że właśnie taki, a nie inny kształt „Pieśni kata”, nad którym przyszło się niejednokrotnie zżymać, składa się na niezwykle sugestywny przekaz historii Gary’ego Marka Gilmore’a, rozgrywanej się w Ameryce prowincjonalnej, płaskiej i, ostatecznie myśl ujmując, mało pociągającej.

Kim jest bohater? Można powiedzieć, że przestępcą od dziecka. Psychopatą nie pozbawionym „iskry bożej”. Być może to nierozwinięty talent artysty malarza, zmarnowany kilkunastoletnim więzieniem. Za kratami zdobył jednak pewną „ogładę intelektualną”. Dzięki niej posługuje się pseudoliterackim językiem metaforycznym, przeplatany wulgaryzmami. Kilkumiesięczny pobyt Gilmore’a na wolności, po warunkowym zwolnieniu, budzi w nim, jak się początkowo zdaje, dobre uczucia. Niestety, w jego wypadku to wyłącznie krótka wycieczka na wolność. Popelnia dwie zbrodnie. Otrzymuje za nie karę śmierci. Wybiera, jak to się tylko w Ameryce zdarzyć może, rodzaj egzekucji, a następnie domaga się jej przeprowadzenia. Jednocześnie zrzeka się, po wyroku pierwszej instancji, prawa do apelacji i sprzeciwia się też działaniom obrońcy dążącego do jego uratowania. Jednakże ktoś zainteresowany odmiennym rozwiązaniem znajdzie mu dwóch innych adwokatów, którzy będą skazanemu pomagali w realizacji jego planów. Co spotka się... ze zrozumieniem amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

To nie powieść. Norman Mailer opisuje prawdziwe wydarzenia z lat 1976 i 1977, które bulwersowały wówczas

opinię publiczną nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Opierając się, jak sam napisze w posłowie, na piętnastu tysiącach stron wywiadów z bliższymi i dalszymi postaciami dramatu, stworzył książkę zaliczaną do literatury faktu czy, jak wolą inni, prozy dokumentalno-reportażowej. Sądzę jednak, że książka nie poddaje się prostym klasyfikacjom, jest jedyną w swoim rodzaju wstrząsającą opowieścią.

Coś, co z pewnością przykuje uwagę Czytelnika „Palestry”, to bogaty, i chyba można założyć, że prawdziwy, obraz działania amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, który przeplata się z widowiskiem, jakie urządzają wokół sądowych wydarzeń mass-media. Walka o prawo pierwszeństwa i wyłączności do relacji o sprawie. Cały wielki cyrk wokół „legalnej krwawej łaźni”, w którym znaczący udział mają także amerykańscy adwokaci (to dobry przyczynek do dyskusji na temat wzorów do naśladowania) szokuje i przeraża. Albowiem ta atmosfera zapędziła bohatera-mordercę „w pułapkę popularności, co dawało mu szaleńczą siłę”. To dzięki niej robił wszystko, żeby zostać rozstrzelanym. Ale czy naprawdę pragnął śmierci? Czy chciał odpokutować winy, a wierząc w reinkarnację liczył, że powróci na ten świat jako ktoś inny? A może tylko grał swoją niesamowitą, nie zakładając, że ostatnią, rolę? Bo gdyby tak zdarzyła się szansa ucieczki... Może pomogą w tym adwokaci?

Norman Mailer, autor głośnych powieści „Nadzy i martwi” i „Amerykańskie marzenie”, książką tą udowadnia raz jeszcze, że jest twórcą wybitnym. Sięgając bowiem po historię sprowadzoną przez innych do poziomu brukowej sensacji, odtworzył losy Gilmore’a bez wymyślania bardziej „atrakcyjnych” psychologicznych rozwiązań. Pomimo, że niejako przystał na odnalezione w postaciach, powiedzmy otwarcie, prymitywne emocje, stworzył utwór o wartości na pewno nieprzemijającej, który niewątpliwie wejdzie do ważnych lektur o „świecie zbrodni”. Drobiazgowa rekonstrukcja życiorysów i wydarzeń oraz poszukiwanie motywu zabójstw porusza, nie natrętnie, lecz jakby mimochodem, i to najlepsze świadectwo umiejętności pisarza, kwestie zasadnicze: odpowiedzialności jednostki i społeczeństwa, winy i kary – zwłaszcza kary najwyższej.

Czyżby zatem już w niedalekiej przyszłości przyznanie się prawnika do nieznajomości „Pieśni kata”, wydanej w ubiegłym roku przez Państwowy Instytut Wydawniczy, miało brzmieć podobnie do deklaracji, że, owszem, słyszało się o „Zbrodni i karze”? Nie, nie sądę, aby aż do tego doszło kiedykolwiek. Ale mimo takiej prognozy życzę każdemu trzydziestu siedmiu z kreskami. Ze wskazaniem, że chory powinien leżeć. Ułatwi to znakomicie spełnienie, co sprawdziłem na własnej skórze, obowiązku wobec prawniczego sumienia.